

Niepokonany

Mormakar przemieszczał się jak najszybciej niosąc swoją ukochaną na ramionach. Spała całkowicie wyczerpana po forsownym marszu. Jego peleryna przedtem ogniście czerwona, teraz wyblakła. Głęboko westchnął i obejrzał się znużony.

- *Deis!* – wymruczał, a mgła, która tak gęsto przysłaniała całą okolicę zaczęła się błyskawicznie rozrzedzać.

Podążał szybkim krokiem w jednym kierunku. Illana ciążyła mu coraz bardziej. Zmobilizował resztki swoich sił. Przewaga, którą posiadali na początku, kurczyła się niebezpiecznie szybko, aż w końcu poczuł, że zostały im już tylko minuty. Pomimo tego nadal miał nadzieję, iż wkrótce zobaczy most, który oznaczać będzie ich ocalenie. Krajobraz wynurzał się spod mgły. Widoczne były liczne krzewy, jednak oprócz nich tylko sucha trawa pokrywała całe urwisko Mooan.

Od samego początku ucieczka szła im źle. Konie, na których uciekali, okulały jeden po drugim, zapas żywności skurczył się tak, że musiał wydawać minimalne racje. A pomoc, pomoc, którą obiecał jego wierny zastępca, nie nadeszła. Magia płaszcza prawie się wyczerpała. Ciało Mormakara zaczęło już odmawiać posłuszeństwa, gdy wiosenny dzień wyzwolił się spod władzy mgły, a na piękne oblicze Illany padły jasne promienie słońca. Otworzyła oczy, których spojrzenie spoczęło na jej ukochanym. Uśmiechnęła się delikatnie.

- Piękniejszego poranka nie mogłam sobie wymarzyć – wyszeptała cicho. – Chciałabym już zawsze budzić się w twoich ramionach.

Pocałowała go w policzek i zeskoczyła na ziemię. Wyprostowała się szybko i posmutniała.

- Zbliżają się – powiedziała. – Nie uda się nam.

- Uda się – odpowiedział Mormakar. – Wystarczy dotrzeć do mostu.

Westchnęła głęboko i przygryzła lekko wargę.

- A co jeżeli się nie uda? – zapytała.

- Wtedy nie pozwolę im dotknąć ciebie chociażby jednym palcem... - wypowiedział to zdanie groźnym tonem i spojrzał głęboko w jej piękne oczy, oczy, w których zatracił się do reszty.

- Ufam ci i wierzę najdroższy – oznajmiła.

Sprawdził flakonik schowany za pasem. Znajdowała się w nim oleista ciecz, o brązowej barwie. Nieustannie bulgotała i zmieniała swój kolor od niemal żółtego, przez pomarańcz i brąz, aż po czystą czerwień. Zakochani szli, trzymając się za ręce, w stronę słońca unoszącego się nad urwiskiem. Ona, piękna niczym poranek, kroczyła przed siebie z podniesioną dumnie głową. Rysy jej twarzy były częściowo skryte przez długie, złote włosy sięgające aż do połowy pleców. Ubrana w prostą, białą suknię wyglądała niezwykle obok wysokiego mężczyzny, którego uroda była przeciwieństwem jej urody. Tak jak złotowłosa Illanę można przyrównać do pięknego dnia, tak Mormakara o kruczoczarnych włosach, bladej cerze, odzianego w skromny, ciemnoniebieski strój, można porównać do chłodnej, spokojnej nocy.

Z racji swojego wyglądu był nazywany Krukiem.

Mgła opadła całkowicie, promienie słońca padły na wielką, trawiastą równinę rozciągającą się między rzeką Annudis, a urwiskiem Mooan. Pogoń była już doskonale widoczna. Ścigający przymuszali zmęczone konie do szybszego biegu. Nie mogli dopuścić by umknęła im zwierzyna. Mormakar nie zważał na jeźdźców. Zauważył coś innego i z niedowierzaniem w oczach puścił się biegiem naprzód. Złe przeczucia spełniły się. Zatrzymali się dopiero nad krawędzią przepaści. Zwęglone resztki mostu szczyrzyły się do nich złowieszczo. Ich ostatnia nadzieja przepadła. Głęboko westchnął i obrócił się, nie zauważył żadnej nowej drogi ucieczki. Kruk wyprostował się dumnie, uniósł głowę, a jego oczy zalśniły groźnie. Czekał aż zostaną otoczeni. Pogoń nadjechała w szybkim tempie i zatrzymała się kilkanaście metrów przed ściganymi.

- Stań za mną – powiedział do swojej ukochanej, wyciągnął miecz i flakonik z oleistą cieczą.

Zaciskając mocniej ręce, obdarzył zadowolonego hrabiego pogardliwym spojrzeniem.

- Witajcie ptaszki! – powiedział donośnym głosem Tellar, po czym zwrócił się do zniechęconego mężczyzny. – Draniu, uciekłeś z moją narzeczoną. Zapłacisz mi za to... Ale mogę ci obiecać, że przeżyjesz, jeżeli poddasz się bez walki.

Uśmiechnął się paskudnie i mrużąc oczy, uważnie obserwował osaczonych.

- Illano, muszę się ciebie o coś spytać – wyszeptał Mormakar.

- Pytaj więc – odpowiedziała cicho.

- Dobrze wiesz co nas czeka, jeżeli damy mu się schwytać. Proszę pozwól mi spełnić swoją obietnicę...

- Niech będzie... Uczyń to, co mówi ci serce.

- Daję wam ostatnią szansę! - zakrzyknął hrabia. – Rzuć broń, przyjdźcie tu i dajcie się grzecznie skrępować.

Cień zasnuł oblicze Kruka, z pogardą wskazał mieczem na Tellara.

- Nigdy! – krzyknął i otworzył flakonik.

W zetknięciu z świeżym powietrzem, na powierzchni cieczy pojawiły się małe płomyki, migoczące wszystkimi kolorami.

- Jak wolisz. Brać ich! – odpowiedział hrabia.

W tym momencie fiolka zatoczyła szeroki łuk i rozbiła się o ziemię, tuż przed zbrojnymi, którzy rzucili się by wykonać rozkaz. Lekko wilgotną trawę ogarnął niewiarygodnie gorący ogień. Szybko zaczął się rozprzestrzeniać i zanim ktokolwiek zdążył się zorientować spowił

trzech nieszczęśników. W ciągu ledwie kilku chwil to, co na początku było ludźmi, zamieniło się w kupkę zwęglonych kości, rozpalonego do białości metalu i stery popiołów. Krzyczeli kilka sekund w trakcie, których widać było jak kolejne warstwy ich ciała zespalają się z ogniem, głodny pożerał wszystko. Pozostali cofnęli się jak najprędzej. Zakochani stanęli bezpiecznie na resztkach zniszczonego mostu i spoglądali smutnie na to, co się wydarzyło.

- Szybko, zrób coś! – wrzasnął ktoś przerażonym głosem do maga.

Wyrostek wykrzyknął trzy słowa i ułożył dłonie w kolisty znak. Jego twarz poszarzała z wysiłku, zaczął obficie się pocić. Jednak magiczny płomień zatrzymał się pół metra od jeźdźców i rozprzestrzenił się dalej na całą równinę, omijając tylko ich. Ale nawet na tym fragmencie z gorąca obumarła cała roślinność, a ludzie stojący najbliżej ognia zostali dotkliwie poparzeni.

- To nic nie da! Nie uciekniecie! – zawołał gniewnie Tellar.

Magiczne płomienie zaczęły powoli dogasać dookoła bariery, a na równinie rozprzestrzenił się już tylko zwyczajny pożar. Mormakar przyciągnął Illanę do siebie i spojrzał głęboko w jej oczy.

- Najdroższa. Być może ta sytuacja wydaje się nie mieć wyjścia, ale mam propozycję – powiedział z nadzieją.

- Co masz do powiedzenia ukochany? – zapytała.

- Za nami jest śmierć. Wiem, że nie umrzemy dosłownie, ale umrą ci, którymi teraz jesteśmy. I już nigdy się nie zobaczymy. Nie będzie dla nas żadnej przyszłości. Natomiast przed nami jest przepaść. Nie wiemy co się kryje na jej dnie, być może to również jest śmierć, albo będzie to nowy początek. Jednak wolę zginąć pozostając tym kim jestem, wolę zginąć razem z tobą, zamiast samotnej śmierci za wiele lat,

w trakcie których żyłbym jedynie smutkiem i cierpieniem. To ci proponuję najdroższa, skoczmy... Skoczmy prosto w nieznaną, ale skoczmy z zamkniętymi oczami, przytuleni do siebie, całując się aż do samego końca. Nawet jeżeli cena jest wysoka, to cóż za wspianiały czeka nas lot! – mówiąc to z pasją wpatrywał się w twarz swojej ukochanej. Nie było na niej wahania, tylko tak samo jak na jego twarzy, smutek.

W oczach obojga zalśniły łzy. Nie były to łzy strachu, ale łzy utraty, bowiem utracili wspólne życie, dla którego zaryzykowali wszystko.

- Skoczę razem z tobą. Umrę teraz. Nie skonam samotnie, jako obca mi osoba.

Obydwoje smutno się uśmiechnęli i trzymając się za dłonie zrobili krok naprzód, w stronę słońca, krok w przepaść.

Hrabia z niedowierzaniem obserwował znad dogasających płomieni rozgrywającą się scenę. Zaniemówił, gdy spod przymrużonych oczu zobaczył jak jego znienawidzony wróg i niedoszła narzeczona spokojnie rozmawiają i w końcu znikają. Nie potrafił zrozumieć, co się właśnie wydarzyło, ale sytuacja, do której doprowadził była początkiem jego upadku.

Spadali w otchłań, głębiej i głębiej. Ginęli razem z promieniami słonecznymi w niezmierny mroku. Całując spokojnie najdroższą mu osobę Mormakar zdjął z siebie płaszcz i otulił ją nim.

- Przepraszam – wypowiedział to, oderwawszy się niechętnie od jej miękkich ust i czując jak łzy dalej wyciekają mu z oczu, wyszeptał. – Było przeznaczone dla mnie, ale ofiaruję je tobie. Ostatnie zaklęcie... *Ammano dei sau!*

Peleryna przybrała karmazynowy kolor i zaczęła się rozpadać. Całe urwisko zalała krwawa poświata.

- Będziesz żyła – uśmiechnął się promiennie i zamknął oczy. – Z tą świadomością mogę umrzeć...

- Nie... Nie! Głupi! Ja nie chcę żyć bez ciebie! Nie... Proszę... - z jej oczu pociekły kolejne łzy, które porwane przez wiatr zmieszały się z jego i w wiosennym słońcu zajaśniały niczym diamenty.

- Przepraszam... - mówiąc to przytulił płaczącą ukochaną i pocałował znikające powoli czoło, z którego wpięram odgarnął włosy. – Kocham cię, zawsze kochałem. Moja miłość będzie ci towarzyszyć do końca...

- Kocham cię... - odpowiedziała łamiącym się głosem. – Ale... Ale bez ciebie to życie nie będzie miało żadnego sensu... *Kocham cię...*

Rozpłynęła się i przez krótką chwilę czuł jeszcze jej zapach i słyszał jej słowa, które napawały go jednocześnie smutkiem i radością, a potem wszystko pochłonęła ciemność.

- Kim jestem...? Co się dzieje...? Jak się tu znalazłem...? – te pytania zadawała sobie istota zagubiona w morzu wspomnień. - Kim jest ona..? Pamiętam ją... Wiem, że jest ważna... Ważna dla mnie... Tylko, dlaczego...? Nie wiem... Ja, ja... Chcę zapomnieć... Zasnąć...

- Nie! Nie możesz! – rozległ się potężny głos. – Mormakarze, zwany również Krukiem, to nie dlatego ciebie uratowałem by twoja świadomość pogrążyła się w niebycie. Żyj! Żyj dla swoich ideałów, żyj dla siebie, a przede wszystkim żyj dla tej kobiety!

- Illana? Illana... ILLANA! – jego świadomość obudziła się i na nowo zaczęła tworzyć istotę, którą dotychczas był.

Powoli odzyskiwał swoje wspomnienia. Od czasów dzieciństwa, aż po chwilę obecną. Przeżywał na nowo każdą scenę pochodzącą z jego życia, niezliczone obrazy przepływały przez niego i kształtowały go od nowa. Był to bolesny proces, jednak po chwili, która wydawała się trwać wieki, otworzył oczy i stwierdził, że leży na kamiennej posadzce, wewnątrz obcej mu komnaty. Na ścianach wyryte były dziwne symbole, a on sam znajdował się pośrodku kręgu przywołań, identyczny znajdował się w siedzibie jego przyjaciela.

Czuł palący ból w całym ciele i z olbrzymim wysiłkiem podniósł się do pozycji siedzącej. Przed nim stał niewysoki pomarszczony staruszek odziany w długie, błękitne szaty.

- Dzień dobry Mormakarze! – zaskrzeczał. – Dobrze, że się obudziłeś, a twoja świadomość przetrwała. Tak, bardzo dobrze. Widocznie potrzebowałeś tylko drobnego bodźca.

- Zatem to ty do mnie wtedy przemówiłeś? – zapytał się zdziwiony.

- Owszem to byłem ja – odpowiedział na pytanie dziwny starzec.

- Ale twój głos brzmiał wtedy jakoś inaczej – powiedział Kruk, czując, że nie doszedł jeszcze do siebie.

Nagle, bezpośrednio w umyśle ocalałego zabrzmiał potężny, dźwięczny głos.

- Brzmiał wtedy tak. Jestem magiem, którego moc bazuje na telepatii – przekazywał słowa, nie otwierając ust.

- Pozwól zatem, że przejdę do konkretów – zaskrzeczał ponownie swoim głosem. – Przywołałem ciebie, ponieważ magia Khalasa pojawiła się przy urwisku Mooan. Namierzyłem tam dwie żywe istoty, z których udało mi się przechwycić tylko ciebie, teleportowałem cię bezpośrednio tutaj. Wyczytałem z twojego umysłu, że nie masz pojęcia o ostatnich wydarzeniach, zatem muszę cię powiadomić, że twój najbliższy przyjaciel oszalał i od tygodnia stał się skrajnie niebezpieczny. Dlatego zainterweniowałem i ocalałem twoje życie. Miałem nadzieję, że okażesz się użyteczny.

- Chcesz mi powiedzieć, że życie Illany jest zagrożone, ponieważ wysłałem ją do szaleńca!? – Mormakar podniósł głos i przerażony natychmiast wstał, całkowicie ignorując ból.

- Skądże – oznajmił spokojnym głosem. – Ona już nie żyje. Jej życie zgasło dokładnie trzy i pół sekundy po tym jak została przeniesiona. Mogę z tego wywnioskować, że teraz również ciebie Khalas uważa za wroga. Myślę, że potraktował to, jako atak magiczny i w momencie paniki unieszkodliwił... Mormakarze? Mormakarze...

Kruk nie zarejestrował niczego więcej, gdyż zwymiotował żółcią i padł bez zmysłów na posadzkę, z której dopiero się podniósł.

Ponownie przywitał go niebyt. Ten błogi stan, w którym nic nie jest wiadome. Ale tym razem jego świadomość pozostała, zwiijając się w mękach. Jego umysł krzyczał i krzyczał nie dopuszczając do siebie niczego innego jak cierpienie. Widział siebie jako mordercę, mordercę kobiety, która mu zaufała, którą kochał ponad wszystko, dla której chciał życia i by je zapewnić sam przywitał śmierć. Jednak role się odwróciły i to jemu zostało zapewnione istnienie. Rzucił się wściekle niczym dzikie zwierzę, które starało się uciec od cierpienia, ale nie potrafiło. Zagłuszył nawet cichy głosik nadziei, że jego ukochana może żyje. Czuł jakby mijały wieki, a jego umysł był kaleczony cały czas przez świadomość, że to przez niego Illanie nigdy nie będzie dane szczęście. Nieomal oszalał na wiadomość, że umarła. Dręczyło

go poczucie winy i niewyobrażalny smutek, jednak, gdy był na krawędzi szaleństwa, okiełznał je uchwyciwszy się jednej myśli.

Zemsta!

Kto doprowadził do tej sytuacji? Kto to wszystko zapoczątkował, zmusił przez swoje knowania starego Margrabiego, by wydał swoją ukochaną córkę za mąż. To przez niego umarli, umarli oboje... Jednak teraz jeden z trupów powstanie i weźmie krwawy odwet. Skoro hrabia Tellar zniszczył mu życie, to on, zwykły kapitan najemników zniszczy życie mu, odbierze mu poważanie, splami jego imię, na koniec sam sprawi by oszalał.

Uspokoił się, jego gniew płonął teraz mroźnym i bezlitosnym płomieniem. Poczł jak czyjaś świadomość stara wnikać się do jego świadomości.

- Magu! – zagrział wewnątrz swojego umysłu.

- Tak? – rozległo się pytanie.

- Chcę ci podziękować za uratowanie życia... Jednak muszę też ciebie o coś prosić.

- Nie dziękuj młodzieńcze to był czysty przypadek.

- Kto wie? Może nie ma przypadków. Mam dla ciebie propozycję.

- Słucham uważnie.

- Potrzebuję mocy – zagrział Mormakar. – Chcę byś mnie nauczał.

- A co mi ofiarujesz w zamian za potęgę?

- Będę nią dysponować według mojej moralności. Dzięki niej wywrę zemstę i pozbędę się tyrana nękającego te ziemie.

- Żadna z tych spraw mnie nie interesuje – po tych słowach to świadomość czarodzieja zaczęła się wycofywać. – My nie zajmujemy się życiem przyziemnych ludzi, ale równowagą świata.

- Czekaj! – zagrział ponownie. – Nie dokończyłem.

- Słucham zatem najemniku – uwaga starca ponownie skupiła się na młodzieńcu.

- Po tym jak zajmę się tą sprawą udam się do Khalasa, by zapłacił za zabicie mojej ukochanej, obróć jego siedzibę w proch a jego samego zniszczę. Nie jest już moim przyjacielem, a tylko marnym szaleńcem...

- Dobrze więc. To jest powód, dla którego mogę ciebie nauczać. Gdy rozmawiamy w ten sposób nie jesteśmy w stanie kłamać. Twoje intencje są prawdziwe – mag emanował zadowoleniem, był wręcz zachwycony determinacją i stanem Mormakara. – Dobrze, bardzo dobrze. Osiągnąłeś w swoim gniewie spokój potrzebny do władania naprawdę potężną magią. To da ci olbrzymią potęgę. Zgadzam się uczniu, będziesz wspaniałą bronią, może nawet uda ci się dokonać tego co zamierzasz, jeżeli masz talent.

- Dziękuję mistrzu, kiedy mogę rozpocząć u ciebie naukę? – zapytał.

- Zaczniemy od razu. W sferze naszych świadomości możemy się swobodnie porozumiewać, a ja mogę ciebie wygodnie uczyć. Zapewne spędzimy tutaj osiem lat, co w świecie rzeczywistym będzie się równać miesiącowi – powiedział lekko rozbawiony sytuacją starzec.

- Dziękuję mistrzu... Zaczynamy.

-Zaczynamy.

Liście szeleściły, czubki drzew delikatnie się kołysały pod wpływem spokojnego, wiosennego wiatru, a w całej okolicy czuć było zapach pieczonego mięsa. Niewielki oddział złożony z elfów, ludzi, krasnoludów, a nawet paru zielonoskórych, rozbił pośrodku zacisznej polany dobrze zamaskowany obóz. Najemnicy nie byli w dobrych humorach. Przez ostatnie wydarzenia musieli się ukrywać ponad tydzień w leśnych odstępach, kluczyć i unikać oddziałów polujących właśnie na nich. Chowanie się nie było dla nich nowością, ale po raz pierwszy sami stali się zwierzyną łowną bez żadnego celu. Ich dowódca zaginął, a jego zastępca wyruszył by dowiedzieć się, co się dzieje, zdobyć informacje i najlepiej uzyskać pomoc.

Każdy z członków tego oddziału był wyjątkowy, byli elitą. Znajdowały się tutaj osoby o najróżniejszych charakterach. Łączył ich jedynie wspólnie wykonywany zawód oraz poczucie braterstwa, jakie panowało w tej kompani. Starano się jakoś sobie radzić z nudą, grano w karty i Twierdze, jednak czekanie dłużyło się. Czasami zwiadowcy wyruszali w teren, ale zawsze wracali ze złymi wieściami. Okoliczne tereny przeczesywało kilka oddziałów po osiemdziesięciu ludzi. Każdy kolejny dzień mijał nieznośnie powoli. Ten nie był wyjątkiem, ale tylko do czasu, gdy niespodziewanie konie zaczęły donośnie rzeć. Ostrzegały swoich panów przed czymś, co napawało je przerażeniem. Wiatr przyniósł ze sobą delikatny zapach krwi, ledwie wyczuwalny. Większość nie zwróciła na to uwagi i tylko dwoje tropicieli poważnie się zaniepokoiło. Wymienili między sobą spojrzenia. Tylko tyle zdążyli zrobić, ponieważ w następnym momencie pojawił się czarny kształt. Coś niczym cień pojawiło się w samym środku obozowiska. Szybko przyjmowało realne kształty, z wirującej ciemności czasami wynurzały się najróżniejsze obrazy zarówno piękne jak i przerażające. Momentami wydawało się, że wзира z niej potworna twarz, twarz demona.

- Co tam kompanio!? – zakrzyknął mężczyzna wyłaniając się całkowicie z cienia.

Odgarnął zakrwawione włosy z czoła, wbił miecz, z którego skapywała świeża krew, w ziemię i uśmiechnął się delikatnie pozbywając się szaleńczego wyglądu. Jego oczy uspokoiły się odrobinę. Czarny strój, cały przyozdobiony szkarłatem, był ciężki od posoki, która z niego spływała. Mimo to po chwili potworne wrażenie się zatarło i cały oddział ze zdumieniem obserwował mężczyznę.

- Dowódca! – zakrzyknęło kilka głosów.

- Dokładnie moi mili... - powiedział Mormakar, spacerując powolnym krokiem wśród obozu. - Jak sami widzicie, to ja, we własnej osobie.

- Co się stało? Dlaczego jesteś taki zakrwawiony!? Myśleliśmy, że zginąłeś druhu – powiedział jeden z ludzi zakutych w płytową zbroję.

- To akurat długa historia Rolfie – odpowiedział cicho. – Ale najpierw musicie mi się wytłumaczyć, dlaczego nie przybyliście mi z pomocą. Przez was straciłem coś bardzo ważnego... Coś, co ceniłem bardziej niż swoje życie...

Potężna, wściekła aura otaczała skąpanego w krwi od stóp do głów Kruka. Po zebranych przebiegł dreszcz. Nigdy nie bali się swojego dowódcy, każdy z nich był jego przyjacielem. Zazwyczaj w oddziale panowała radosna, wręcz rodzinna atmosfera. A najbardziej roześmiany był najczęściej ten, który obecnie wzbudzał grozę. Chociaż był ciepły wiosenny dzień, nagle wielu poczuło lodowaty wręcz mróz, oddychanie stało się ciężkie, a serca przygniotł miążdzący ciężar. Po chwili jednak to wrażenie ustąpiło. Aura również zniknęła bez śladu, teraz tylko oczy Mormakara błyszcząły groźnie.

- Kruku, to był rozkaz Farsona – powiedział jeden z odzianych w maskujący płaszcz. – Stwierdził, że skoro masz swoją pelerynę to bez problemów uciekniesz, a przebicie się przez przeważające siły wroga było zbyt ryzykowne. Mieli lepszą pozycję, było ich pięciokrotnie więcej od nas i nawet gdyby nam się udało to większość z nas by zginęła.

Powoli atmosfera zelżała, a ich zakrwawiony dowódca westchnął cicho i usiadł na omszałym pniu powalonego drzewa.

- Rozumiem, nie na was spoczywa wina. Zresztą nie mogliście wiedzieć, że mój płaszcz tym razem okaże się wręcz zgubny. Khalas oszalał... Mimo to przeżyłem...

W obozie rozległy się szepty, tylko kilka osób znało osobiście tego maga, ale cała reszta o nim słyszała i jak dotąd wszyscy uważali go za potężnego sprzymierzeńca.

- Jakie masz dla nas rozkazy? – wypowiedziało nagle to samo zdanie wiele głosów.

Uśmiechnął i wstał zostawiając na miejscu gdzie siedział krwawy ślad.

- Najpierw musimy się stąd wydostać. Natychmiast ruszamy – widząc, że większość osób stoi niezdecydowana dodał. – Na co czekacie? To rozkaz!

Teraz usłuchano go natychmiast, zabrzmiał róg zwołujący wartowników i w ciągu paru minut byli gotowi. Mormakar wsiadł na swojego konia, tresowanego rumaka czarnej maści i poprowadził swoich towarzyszy przez las. Końskie kopyta deptały bujną trawę oraz miękki mech, nieraz z trzaskiem łamała się gałązka. Pozostawiały swój ślad w błocie i stąpały po liściach. Po kilku chwilach dało się wyczuć w powietrzu coś dziwnego. Wiatr zawiął niespokojnie i zaczął potępieńczo zawodzić. Doszedł ich zapach śmierci. Wkrótce las zaczął się przeredzać. Usłyszeli krakanie, na początku ciche, ale później stawało się coraz głośniejsze. Ponura pieśń padlinożerców rozlegała się wszędzie dookoła, jednak czuć w niej było niezadowolenie, a nawet strach. Być może było to zwyczajne krakanie, jednak w tym momencie dało się je odczuć z nieomal ludzkim wyrazem zawodu. Przytłaczająca atmosfera zapanowała ponownie, powietrze zrobiło się cięższe, a na umysły padł cień grozy. Nie wiedzieli co się dzieje, ale bali się jednakowo. Przekroczyli granicę leśnych odstępów, wyjechali na wolną przestrzeń i ich oczom ukazało się pole szkarłatu, każdy skrawek był równo zabarwiony krwią, która zakrzepła nim zdążyła wsiąknąć w ziemię. Ciała ludzi tak zmasakrowanych, że można mieć wątpliwości, czy to w ogóle były istoty ludzkie. Sławna

Kompania Kruka teraz zadrżała. Na co dzień obcowali ze śmiercią, nie był im obcy zapach krwi i widok martwych ciał, ale to przerosło ich wyobrażenie. Wściekłość emanująca z tego pola bitwy, czy raczej masakry, była wręcz namacalna. To ona odstraszała padlinożerców i chociaż zostały zwabione tutaj przez zapach śmierci, to przez aurę tego miejsca nie mogły się posilić. Niektóre spróbowały, ale udusiły się, albo zadławiły próbując połknąć jeszcze ciepłe, ludzkie szczątki.

- Utorowałem nam drogę – powiedział Mormakar, a szaleństwo błyszczące w jego oczach przeraziło wszystkich. – Naprzód! Przeznaczyłem dla was pewne zadania. Czekają nas sporo roboty – po tych słowach cała wściekłość z niego wyparowała.

Poczuł olbrzymi smutek, jednak on podsycił jeszcze płomień, który stale przypominał mu o zemście. Jakże przerażający stał się dla tych, którzy go znali, podziwiali, kochali. Stał się dla nich kompletnie obcą osobą, skupioną na jednym celu, przepełniona nienawiścią, goryczą i pragnieniem zemsty.

Nie zwlekając Grulaf przywiązał swojego konia i pomimo zmęczenia udał się niemal niewidoczną ścieżką, by jak najprędzej złożyć raport. Las szumiał smętnie, gdy kroczył w chłodnym cieniu, a leśny potok szemrał spokojnie. Jednak nie słychać było żadnych innych dźwięków, nawet ptasiego śpiewu. Dzikie zwierzęta spłoszyły się obecnością człowieka i udały się w dalej położone tereny, ale brak ptaków był dziwny. Coraz starsze drzewa przysłaniały niebo, robiło się coraz duszniej, a bliżej nieokreślony lęk nachodził najemnika. Poczuł lekkie zawroty głowy, cienie zaczęły tańczyć dookoła niego i zauważył delikatną poświatę. Każdy z jego kroków zdawał się trwać wieczność, a ruchy stawały się coraz bardziej ospałe. Przemieszczał się nieznośnie powoli do przodu. Nagle poczuł oszałamiającą woń i słodko-mdlący posmak w ustach. Dostrzegł olbrzymi kokon zawieszony w powietrzu na przędzy grubości lin okrętowych, oszołomiony zaczął zmierzać w jego kierunku. Na dziwnej konstrukcji, z pajęczych nici o czerwonym zabarwieniu, pracowały nieustannie tysiące pająków najróżniejszej wielkości, od całkiem małych, wielkości mrówki, aż po ogromne monstra dorównujące wzrostem koniom. Każdy z nich wydawał się być nienaturalnie spuchnięty. Ich zrogowaciała skóra, pokryta szczecina, przyjmowała najczęściej różową barwę, identyczną jak u skóry noworodka. Jedynie nieliczne były innego koloru. Były wszędzie, przebiegały po poszyciu częściowo pokrytym wydzieloną wyciekającą z ich odwłoków. Rozwieszały dookoła coraz więcej sieci, w które złapały różne stworzenia. Pośród nich znalazły się również ptaki, ale nie były one zwyczajne, miały postrzępione pióra, mocno zakrzywione dzioby oraz posiadały dodatkowe pary oczu. Miotły się uwięzione i wrzeszczały przerażająco ludzkim głosem. Część z nich nie potrafiła utrzymać swojego ciała w całości, jednak gnijące kawałki mięsa odrywały się jedynie od żyjących okazów, ponieważ przestawały się poruszać dopiero, gdy białe larwy rozrywały je od wewnątrz. Wydostawały się i opadały na ziemię. Niektóre pod wpływem upadku eksplodowały i obryzgiwały otoczenie cuchnącym, białym śluzem, z kolei inne trafiały na miękką przędzę i natychmiast zaczynały jeść. Jeszcze więcej zostało schwytanych owadów. Czarne osy, wielkości kotów, brudzące wszystko z czym się zetknęły smolistą substancją. Olbrzymie muchy, o zgniozłej barwie, wydalające ostrą, gryzącą woń, od której chciało się

wymiotować. Wiele swobodnie omijało śmiertelne pułapki, ich brzęczenie z natarczywością atakowało słuch. Wszędzie kołysały się powoli nieznanne mu szkarłatne kwiaty o pomarszczonych płatkach i czarnym wnętrzu. Roztaczały oszałamiający zapach, zakrywając wszystkie pozostałe. Fascynowały go, ale nagle jeden po drugim zaczęły się zamykać. Cały świat wirował dookoła dygoczącego najemnika. Zawsze bał się pajaków, ale to, co działo się tutaj było potworne ponad wszelkie jego wyobrażenie, było gorsze niż najgorszy koszmar, a ściany kokonu powoli się otwierały ukazując szybko rozszerzającą się szczelinę.

- O mój boże, o mój boże, o mój boże! Cokolwiek tam jest idzie po mnie! – pomyślał, wpadając na chwilę w histerię.

Siły go opuściły i osunął się na jedno z drzew. Rozpaczliwie starał się nie upaść na poszycie pełne pełzającego robactwa, wszędzie zauważał stale rosnące larwy, o rzędach ostrych, haczykowatych zębów, pożerające wszystko, na co natrafiły. Przerażony do reszty modlił się w duchu, by nie wyczuły jego. Jednak, gdy tylko o tym pomyślał wszystkie, jak na komendę zaczęły przemieszczać się w jego kierunku. Zaciśnął z całych sił powieki i zaczął wrzeszczeć.

- Dobrze, że wróciłeś Grulafie – wyszeptał cicho Mormakar. – Rozumiem, że przynosisz mi wiadomość... Czyż nie?

Otworzył szeroko oczy i oszołomiony całkowicie wpatrzył się w otaczającą go scenę, nie potrafił już oderwać wzroku od wszystkożernych stworów, które znajdowały się ledwo kilkanaście centymetrów od niego i z każdą chwilą były coraz bliżej.

- Tak... - wydusił tylko z siebie łamiącym się głosem.

- Zatem na co czekasz? – zapytał się Kruk, po czym klepnął się w czoło i dodał z uśmiechem. – Racja, przecież nic nie jadłeś, a jesteś zmęczony po długiej podróży. Raport zdasz mi po posiłku.

Nagle wszystko się zmieniło, kokon zaczął zanikać, tak samo pająki i cała reszta robactwa, razem z ptakami. To wszystko zniknęło, tak jakby nigdy tego nie było. Zamiast tego znaleźli się w pięknym, białym domu, w którym biegały radośnie dzieci, coś pokrzykując. Przepiękna, odziana w biel kobieta nakładała mu właśnie na talerz soczysty i pachnący kawał pieczeni, obficie polewając go aromatycznym sosem. Siedzieli na rzeźbionych krzesłach, przy wielkim stole, zastawionym wykwinnymi potrawami, pośrodku którego, w wąskiej, kryształowej wazie spoczywał pojedynczy, czerwony kwiat o pomarszczonych płatkach i czarnym wnętrzu. Na ścianach wisały cudowne obrazy, pełne zieleni, błękitu, doskonale komponujące się z pomieszczeniem. Przez okno padały słoneczne promienie zalewając cały pokój jasnym blaskiem.

- Dziękuję kochanie – powiedział Mormakar do kobiety i pocałował ją czule w usta.

Obydwoje się uśmiechnęli, po czym ona wyszła, a on zabrał się do jedzenia. Dzieci śmiejąc się wesoło, bawiły się nieprzerwanie w pokoju obok.

Oślupiały Grulaf nie potrafił zrozumieć, co się wydarzyło, nadal czuł się jakby w każdej chwili miał zwrócić treść swojego żołądka, ale powoli się uspokajał. Po minucie poczuł się

normalnie, a oszałamiający zapach pozwolił mu się odprężyć. Na chwilę zapomniał o wszystkim i zabrał się do jedzenia.

- Co to za kwiaty? – zapytał się po spróbowaniu wyśmienitego dania, było to pierwsze, co przyszło mu na myśl.

- To żałobnik – odpowiedział Kruk przeżuwszy wpierw spory kęs, po czym upił odrobinę napoju z kryształowego kielicha. – Naprawdę rzadka roślina. Jest bardzo drogocenny, nazywany również kwiatem pomsty. Tradycyjnie wysyła się go, gdy ktoś chce pokazać, że nie zapomną krzywd i będą się mścić. Pozwolić sobie na to może tylko szlachta, a i tak najczęściej są zasuszone. Jedynie najbogatsi wysyłają całe bukiety. Jest nawet legenda związana z niebiesko-białą odmianą, jednak chyba jest to tylko legenda. Więc gdybyś zechciał może opowiem ci o tym innym razem...

- A kim była ona? – zadał kolejne pytanie, nie odrywając wzroku od rośliny.

- Mój przyjacielu – odparł z miną, na której nagle zagościł porażający wręcz smutek. – To była Illana, moja ukochana. Zginęła, a mi pozostała po niej jedynie gorycz, smutek oraz zemsta, którą właśnie realizuję.

Obydwoje umilkli i dokończyli powoli posiłek. Po chwili na twarzy gospodarza nie było ani śladu smutku, lecz jedynie delikatny uśmiech. Jednak, gdy gość przypatrzył się jego oczom, przeszedł go dreszcz. To, co sobie uświadomił było o wiele gorsze niż widok kokonu i jego przerażających tkaczy. Było gorsze niż cała sytuacja, w jakiej przed chwilą się znalazł. Było nawet gorsze niż gdyby pozwolił tamtemu robactwu pożreć siebie żywcem. Wzrok jego ukochanego wodza był tak samo przenikliwy jak zawsze, ale nie było w nim ani odrobiny ciepła, czy życzliwości. Gdzieś znikła osoba, którą podziwiał, za którą podążyłby na koniec świata. Teraz pozostał jedynie ktoś, przed kim najchętniej uciekłby jak najdalej. Oczywiście Mormakara, dawniej ciepłe i wesołe, teraz były niczym dwa kawałki lodu.

- Za chwilę będzie pora ruszyć w drogę. Najwyższa pora byś złożył mi raport – powiedział dowódca.

- Ależ oczywiście – odpowiedział blady ze strachu, aż czuł jak cała krew odpłynęła mu z twarzy.

Zaczął szybko relacjonować wszystkie postępy. Jego słowa spotkały się z wielką uwagą, a jedyny słuchacz uprzejmie potakiwał głową. W pustych oczach Kruka pojawił się złowieszczy ogień, a uśmiech rozciągał się coraz szerzej.

- Wyśmienicie! – zakrzyknął i zaczął się śmiać.

Śmiał się i śmiał, a świat ich otaczający powoli rozpływał się, aż ponownie znaleźli się na polanie, jednak nie było tam już ani śladu kokonu, pajaków, larw, ani innych stworzeń.

- Wkrótce zapłaci mi za wszystko – powiedział i już tylko z niewielkim uśmiechem dodał. – Dziękuję ci Grunlafie, mozesz odejść. Tylko pamiętaj, za dwa dni wyruszacie.

Mormakar odwrócił się i lekkim krokiem wszedł między drzewa, a jego podwładny nawet nie zauważył momentu, w którym zniknął. Pozostawiony w samotności mężczyzna zastygł w bezruchu, jednak po kilku minutach otrząsnął się i zamyślony zawrócił do obozu. Nadal był jeszcze odrobinę roztrzęsiony tym, co przeżył. Zrobił się potwornie głodny.

Wykwalifikowana, prywatna armia Tellara była już trzeci dzień w drodze. Hrabia, otoczony równo tysiącem świetnie uzbrojonych i doskonale wyszkolonych żołnierzy, podążał według wskazań zwiadowców. Był potwornie wściekły i ledwo panował nad emocjami. Loża odrzuciła jego kandydaturę gdyż, jak twierdzili Margrabiowie w niej zasiadający, otrzymali kilka informacji dotyczące jego osoby, które wielce ich zainteresowały. Jednak w porównaniu z innymi kłopotami, ten był najmniejszy. W ciągu kilku dni był pozywany wielokrotnie za jakieś stare i nowe przestępstwa, o których myślał, że wydarzyły się tak dawno, iż nikt nie ma prawa się o nich dowiedzieć oraz nawet za takie, których nie popełnił. Między innymi odkryto drobną niezgodność w uiszczaniu podatków, a urzędnik, który tak wiele zyskał na współpracy z nim, zgłosił wszystko i nawet sam przyznał się do winy. Najgorsze było jednak to, że dochodzenie dotyczące Turnieju Żelaznej Sali natrafiło na dowody mocno go obciążające, a wszyscy ci, którym zapewniał tyle rozrywki, którzy go uwielbiali, teraz jednogłośnie zeznawali przeciwko niemu. Ponure myśli coraz bardziej pogarszały mu humor, jednak nie poddał się i zamiast tego skupił się na bezpośrednim zagrożeniu. Jak wskazywały informacje oddział pod dowództwem Kruka liczył około trzystu ludzi. Tyle, że banda trzystu najemników nie może się równać z tysiącem żołnierzy. To więcej niż trzykrotna przewaga. Uśmiechnął się gorzko rozmyślając w ten sposób. Jednak po chwili z zamyślenia wyrwał go nadjeżdżający szybko posłaniec.

- Mój panie! Straż przednia napotkała na samotnego człowieka – szybko przekazał wiadomość. - Twierdzi, iż nazywa się Mormakar i przybył tutaj po ciebie, mój panie. Prowadzą go tutaj.

- Że co!? – ręka hrabiego wystrzeliła do przodu, złapał wyrostka za gardło. – Skoro tak to zastrzelcie go natychmiast, a mi przywieźcie jego głowę oddzieloną od reszty ciała!

Puścił charczącego żołnierza i szybko zwrócił się do trzech postaci odzianych w bogate szaty.

- Działajcie skoro jesteście jednymi z najpotężniejszych magów w całej Gildii. Z tego co wiem nasz wróg nie włada magią, ale za to ma sporo magicznych zabawek. Macie je koniecznie zneutralizować i chronić moją osobę – powiedział nerwowo.

- Zadbaliśmy już o twoją ochronę, nie spadnie ci nawet włos z głowy, a jeżeli użyje jakiegolwiek magii to zajmiemy się nią bez problemów – odparł szeleszczącym głosem najwyższy z nich.

Nagle do ich uszu dobiegł kwik przerażonych koni oraz wrzask ludzi. Cała straż przednia uciekała najszybciej jak się da od pojedynczej sylwetki, która nieśpiesznie się zbliżała. Nadchodzący wyglądali jakby utracili zdrowe zmysły, wpadając między ludzi łamali szeregi, prąc naprzód nie zważali na nic, starali się uciec byle dalej. Rozpaczliwie wołali o pomoc, płakali, wrzeszczeli, a ich wzrok był jak zwierzęcia zamkniętego w klatce i bez przerwy szczonego.

- Zająć pozycję! – krzyknął jeden z dowódców.

Żołnierze starali się przywrócić porządek. Próbowano uspokoić, uciszyć i odciągnąć na bok przybyłych. Nieskutecznie.

- TELLARZE! – ryknął nienaturalnie głośny głos. – Poddaj się, a oszczędzę twoich ludzi! W przeciwnym razie zginiecie wszyscy!

Samotna sylwetka kroczyła powoli wśród bujnej trawy, niedawno zmoczonej deszczem. Jednak przy każdym kolejnym kroku żółkła, pochylając się do ziemi robiła się brązowa i umierała. To samo działo się z polnymi kwiatami i całą roślinnością. W naturze zapanowało zamieszanie, liczne zwierzęta masowo uciekały, a Hrabia ignorując to wyjechał z eskortą przed swoje oddziały.

- Nie żartuj sobie! – odpowiedział głośno i zaczął się śmiać. – Jesteś sam przeciwko całej armii! Nie ważne, jakie diabelskie sztuczki masz teraz na podorędziu, nawet, jeżeli gdzieś tutaj chowają się twoi ludzie to nie masz szans!

- Jestem sam – odpowiedział głośno, tak by usłyszeli go wszyscy. – Wysłałem moich kompanów by zajęli rodową posiadłość Galladów. Trzydziestu moich ludzi wystarczy by ją przejąć, skoro pozostawiłeś w niej ledwo kilku swoich.

- A gdzie są te trzy setki, o których słyszałem, że prowadzisz ze sobą? – odkrzyknął, po czym powiedział do czarodziejów. – Zajmijcie się nim.

- Nie ma i nigdy nie było – odparł, po czym wykonał szybki ruch ręką.

Z tej odległości nie dało się dostrzec, co uczynił, jednak po chwili rozległ się ogłuszający huk. Pierwszego z magów odrzuciło na kilka metrów. Upadł ciężko na ziemię, z której już się nie podniósł. Słychać było trzask łamanych kości. Drugi z nich zaczął coś bełkotać i gaworzyć jak małe dziecko, wybuchał śmiechem raz po raz. Poruszał się niezdarnie, raczkując. Trzeci z kolei klęczał wpatrując się martwym wzrokiem w przestrzeń.

- Nie poddałeś się. Muszę więc spełnić moją groźbę, nie ocaleje nikt. Jako pierwszymi zająłem się wygnańcami Bractwa, którzy założyli swoją gildię, ale teraz pora na was... – powiedział ścisząc coraz bardziej głos, jednak wszyscy słyszeli go doskonale, tak jakby stał zaraz obok nich.

Tellara oblał zimny pot, jak najszybciej zaczął się cofać za ścianę tarcz.

- Jazda! Na niego! Stratujcie go! – zaczął wrzeszczeć.

Niespodziewanie zabrzmiał niski dźwięk, który rozszedł się po całej okolicy. Wibrował przenikając wszystko, a na umysł każdego, kto go usłyszał padł cień. Kojarzył się z czymś, ale nikt nie potrafił skojarzyć, z czym. Niebo powoli zasnuwało się chmurami, chmurami o krwistoczerwonym zabarwieniu. Mormakar, nie zmieniając rytmu swoich kroków, wpatrywał się smutno na oddziały ludzi stojące przed nim. Jedynie mroźny ogień, który palił się w jego oczach mówił, że nie ustąpi. Zabije wszystkich na drodze do zemsty. Nikt nie ucieknie. Powoli, cal po calu wyjmował swój miecz. Złowróżbne brzęczenie rozlegało się coraz głośniejsze. Klin jazdy szarżował w jego stronę, a on kroczył dalej tym samym powolnym krokiem. Skierował czubek ostrza ku ziemi. Jeźdźcy byli coraz bliżej, równocześnie pochylił lance i gdy grot jednej z nich był kilka metrów przed jego piersią, zamachnął się. Najwyczejajniej w świecie zamachnął się, jednak siła cięcia była tak przeraźliwa, że wyrwała

z podłoża wielkie grudy ziemi, a sześć rzędów pędzących na niego lansjerów zostało rozdartych na strzępy. W ciągu sekundy zamienili się w krwawą miazgę, ani ich zbroje, ani tym bardziej ich ciała nie wytrzymały. Nikt nie zauważył ruchu, w jednej chwili miecz Mormakara znalazł się przy jego głowie. Szeregi piechoty poczuły jedynie potężny wiatr, który skropił ich zbroje krwią.

Kruk przyśpieszył, teraz biegł po martwym, zalanym posoką gruncie, bez ani jednej kropli szkarłatu na swoim ubraniu. Zbliżał się z nieprawdopodobną prędkością w kierunku zbladłych ze strachu żołnierzy. Błyszczały mu oczy, powoli zaczął się uśmiechać. Szaleniec obudził się w nim całkowicie. Złowieszczy dźwięk zabrzmiał wyżej, stał się głośniejszy, bardziej przenikliwy, wręcz przeszywający. Pod jego wpływem aż pękały cięciwy łuków, czyniąc je całkowicie bezużytecznymi. Część żołnierzy dołączyła do oszalałej przedniej straży, zaczęli wrzeszczeć i uciekać, byle dalej od tego śmiejącego się demona i przenikliwego dźwięku. Niestety każdy, kto spróbował ucieczki, każdy, kto oddalił się na kilka metrów w stronę lasu, napotkał opór. Coś blokowało ucieczkę, jakaś niewidzialna bariera nie pozwalała nikomu ratować swojego życia. W miarę jak, on, zbliżał się coraz bardziej, szeregi rzedły, coraz więcej ludzi krzychało i wywracając białkami oczu uciekało ze swoich pozycji. Dręczeni potwornymi wizjami nierzadko zabijali się wzajemnie, popełniali liczne samobójstwa, padali na ziemię łkając. Poddawali się. Aura Mormakara miażdżąc ich umysły powodowała obłęd. Wirując przedarł się przez mur tarcz. Przeciął kość, rozdarł ciało i zdruzgotał metal tak, jakby nie natrafił na żaden opór. Przemieszczał się niestrudzenie, zabijał każdego, kogo napotkał po drodze, każdego, kto próbował, czy też nie próbował stawić mu oporu. Po prostu zabijał i robił to z niesamowitą skutecznością. Walczył zarówno swoim mieczem jak i umysłem. Rozgniatał wrogów na krwawą miazgę, zabijał całe drużyny za pomocą ich własnej broni, czy nawet rozpędzonych kamyków. Cięciami, które były jego wolą, rozrywał wszystko. Czerwone kielki błyskawicznie wychylały się z ziemi podążając śladem rzezi, śladem Kruka. Dążył stale w kierunku hrabiego, który stał nieruchomo. Z jego twarzy odpłynęła cała krew, jednak nie bał się, nie myślał, nawet nie starał się zrozumieć. Jego wzrok był nieugięty. Wyciągnął miecz i przygotował się, przygotował się na przyjęcie zmierzającej ku niemu śmierci. Nigdy nie sądził, że umrze, zawsze zachowywał się lekkomyślnie. Myślał, że nic go nie dosięgnie. Nawet teraz nie wierzył, że to jego koniec. Nawet jeśli w głębi serca dobrze o tym wiedział to przywołał na swoją twarz lekki, drwiący uśmiech i spoglądając dalej na masakrę swoich ludzi, czekał. Krwawe chmury całkowicie zasnuły niebo. Dźwięk przerodził się w krzyk, przeraźliwy wrzask, który nie mógł wydobyć się z żadnego ludzkiego gardła. Jednak trwał, wydostawał się z Mormakara, pomimo tego, że miał zamknięte usta. Stopniowo stawał się coraz głośniejszy. Tellar rzucił się, z nieusłyszanym przez nikogo krzykiem, na tego, który zniszczył mu życie. Na magicznej barierze otaczającej hrabiego z trzaskiem pojawiały się pęknięcia. Hałas nasilił się do tego stopnia, że wszystkim żołnierzom dookoła, po kolei popękały bębenki w uszach. Powietrze wibrowało potężnie, liście spadały z drzew, których konary łamały się. Nawet kamienie pękały. Zatarły się wszystkie dźwięki i pozostał tylko ten jeden.

Bezgłośnie biegły na siebie dwie postacie. Kapitan najemników zwany Krukiem i hrabia Tellar, przed którym dawniej rozpościerała się cudowna przyszłość, pełna zwycięstw i zaszczytów, do czasu aż skrzyżowała się z losem tego, którego zwano od czasu tej bitwy Niepokonanym. Czarna postać, z uśmiechem demona i wyciągniętym mieczem, poruszała się lekko, prawie nie dotykając stopami ziemi. Będąc cały skąpany we krwi milczał. Z drugiej strony w pełnej zbroi płytowej i na słabnących nogach szarżował zdeterminowany

możnowładca. Okolony siateczką coraz drobniejszych pęknięć o tęczowej poświacie, bezsilnie krzyczał. Chociaż obojgu wydawało się, że w ciągu tej jednej chwili mijają całe wieki, to w końcu starli się. Ich miecze zderzyły się. Magiczne bariery uległy zniszczeniu, a wibracje dochodząc do punktu kulminacyjnego rozdarły ciała pozostałych przy życiu, po czym dźwięk zniknął i zamienił się w ciche zawodzenie. Do uszu dwóch ostatnich żywych istot dobiegł ponury grzmot. Ostrze hrabiego rozprysło się, a rękojeść wypadła ze zdrętwiałej dłoni. Fala uderzeniowa odrzuciła go prosto na wyrastające w błyskawicznym tempie drzewo. Mormakar z nadludzką prędkością wbił swój miecz w ziemię i ruszył naprzód. Jego twarz przybrała ponownie smutny wyraz.

- Wywrę na tobie zemstę hrabio. Jako, że to ty byłeś przyczyną mojej straty odczujesz cały ból, jakiego doświadczyłem ja – przekazał informacje bezpośrednio do przerażonego umysłu Tellara. – *Yashgaar*. Oto nazwa tego drzewa. Sprawię, że przybity do niego zaśniesz, a w twoim umyśle miną tysiąclecia, zanim ciało zginie, a nieustannie będziesz cierpieć katusze. Żegnaj Tellarze, pozbędę się teraz mojego szaleństwa, przekształcając je w materię. W lewej dłoni Mormakara zmaterializował kształt złożony z samego mroku. Przybrał formę włóczni, w której zgromadził się cały krzyk, teraz już tylko cicho zawodzący. Za pomocą nieznanego nikomu magii wydzielił się fragment świadomości, szalonej oraz okrutnej i przekształcił w przedmiot. Ciało hrabiego ciężko uderzyło w lśniący, czarny pień drzewa, którego równie czarne liście cicho zaszemrały. Kruk momentalnie znalazł się przy nim i pchnął go. Włócznia przeniknęła przez serce skazanego i utkwiała głęboko w drzewie, a po chwili, dookoła nich rozkwitły żałobniki.

Wszystko znieruchomiło i przez wiele godzin nie zabrzmiał nawet najmniejszy odgłos. Pierwszą zmianą były chmury, które utraciły swój złowieszczy kolor i rozproszyły się. Pojawił się księżyc w pełni. Zaświecił nad wzgórzem, na którym wyrosło czarne drzewo o wielu czarnych gałęziach, czarnych liściach, otoczone krwistoczerwonymi kwiatami o czarnych wnętrzach, długich łodygach, posiadające kilka błyszczących zielonych liści. Dwie ludzkie sylwetki trwały w tej scenarii. Jedna przeraźliwie biała

w lśniącej zbroi, była przytwierdzona czystą ciemnością do zwilżonego krwią pnia. Z kolei druga stała obok, z opuszczoną głową, ubrana na czarno. Jednak, gdy pojawił się wiatr, a czarne liście odezwały się tysiącami umęczonych szeptów, odwróciła się i odeszła przez pole kwiatów, które roztaczały oszałamiającą woń, budzącą jedynie negatywne uczucia w sercach ludzi. Kruk odszedł smutny z tego miejsca. Żałował, że zabił wielu ludzi, żałował, że mordował z uśmiechem na twarzy. Nie wszyscy z nich byli źli, wielu było dobrymi ludźmi posiadającymi liczne rodziny, kochające żony i szczęśliwe dzieci. Odszedł rzucając przepelnione żalem słowa.

- Wybaczcie mi. Zrozumiałem, co uczyniłem.

Wojtek Ledwig

Góraźdże 47-316, ul. Główna 11/4
ur. 30.09.1996 nr tel. 884832940

E-mail Pankarus@wp.pl

Uczeń Liceum Ogólnokształcącego nr 2
w Opolu Im. Marii Konopnickiej, kl. 1D